

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

Rozdział XII.

Unosiłem się nad jej urodą, siedząc obok niej w otwartym powozie. I nad innemi jej zaletami unosiłem się także — nad jej prostotą, nad przyjacielskością jej obejścia, nad ufną jej szczerością. To, że ona była jedną z najbardziej znanych osobistości europejskich, po rozmowie naszej ani trochę mi nie przeszkadzało oddawać się błogim marzeniom o możliwej szczęśliwej przyszłości.

Narzuciło mi zresztą te myśli zachowanie się samej publiczności, która jakkolwiek wiele grzeczniejsza, niż angielska, w przejeździe przyglądała się nam ciekawie, choć dyskretnie.

Roza przed wyjazdem schowała biżuterię do żelaznej szafy, jedną tylko wspaniałą broszę z szmaragdami przypięła do szyi.

— Jak widzę — zauważyłem — w Paryżu nawet na próby stroić się trzeba w klejnoty!

Roześmiała się.

— Pan myśli, że ja się kocham w klejnotach i pogardza mną pan dla tego.

— Ani trochę. Któż, jeżeli nie pani, ma prawo nosić drogie kamienie.

— A czy też pan wie, dlaczego ja je noszę?

— Nie dlatego, by być jeszcze piękniejszą, bo już nic przecież pani ulepszyć nie zdoła.

— Niech pan pamięta, że za to właśnie pana lubię, że nie ma pan zwyczaju prawienia komplementów.

— Bardzo przepraszam. Nie będę już pani obrażał. Otóż przyznaję, że nie wiem, dlaczego pani nosi klejnoty. Musi być coś purytańskiego w moim charakterze, bo nie mogę zrozumieć pasji do biżuterii. Mówię to tylko dlatego, że kazała mi pani być szczerym.

Teraz dopiero, gdy sobie tę rozmowę przypominam, widzę, jak wyrozumiała była ona dla mnie, mimo szorstkości i prostactwa moich pojęć w kwestyi stroju.

— A jednakże pojechał pan do Anglii po moje biżuterie.

— Nie, pojechałem do Anglii, ażeby się pani przysłużyć. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego nosi pani biżuterie i poza sceną?

— Proste dlatego, że je mam i uważam, że skoro tak jest, to powinien ich używać. POCO je marnować, chowając w żelaznej szafie, kiedy są — a do tego są piękne? To szkoda, ukrywać rzecz piękną. Nie dlatego, że są cenne, przywiązuję do nich wagę.

— Jak na osobę, która o nie mało dba, posiada ich pani bardzo znaczną ilość!

— Ach! Wiele z nich podostawałam, a resztę kupiłam, gdy byłam młoda. Zresztą, te biżuterie, to po części kapitał zakładowy w moim zawodzie.

— Gdy pani była młoda! uśmiechnąłem się. — Jak to dawno temu?

— Wieki już!

— Doprawdy!?

— Siedm lat temu byłam młoda! — rzekła — miałam wtedy lat szesnaście.

— W takim razie w istocie, jesteś pani sędziwą; a skoro pani, to i ja.

— Jestem o wiele starsza od pana — rzekła — nie latami, ale życiem. Pan się nie czuje starym.

— A pani?

— Nawet bardzo.

— Skutkiem czego?

— Ach! Doświadczenie życia!... I co innego jeszcze. To dusza się starzeje.

— Ale przecież była pani szczęśliwa.

— Nigdy... nigdy w życiu nie byłam szczęśliwą... z wyjątkiem tych chwil, gdy śpiewałam.

A pan?... — odpowiedziałem. — Raz... może dwa razy.

— W dziecięcych latach?

— Nie!... odkąd jestem mężczyzną. Bardzo... bardzo niedawno temu...

— Ludziom się czasem wydaje, że są szczęśliwi! — szepnęła.

— Czy to nie wychodzi na to samo?

— Być może... Ale nic mi pan nie opowiedział o swojej podróży. Mówił mi pan tylko o opóźnieniu na kolei i o opóźnieniu znów na parowcu. Czy nie należy mi się usłyszeć trochę więcej szczegółów?

Opowiedziałem jej więc szczegóły; nic jednakże nie powiedziałem o tajemniczym wrogu, który mi towarzyszył, ani o kobiecie, którą spotkałem u grobli w Dover. Nie miałem właściwie powodu do ukrywania się z tem, jednak jakieś instynktowne poczucie skłoniło mnie do zamilczenia.

— Jakież to okropne! Czy bał się pan wtedy... na parowcu?

— Bałem się — przyznałem się szczerze.

— Może mi pan nie uwierzy — rzekła — ale mnie śmierć nie przeraża.

— A czy stała pani kiedy wobec grozy śmierci?

— Kto wie? — odpowiedziała zamyślona.

Stanęliśmy przed teatrem. Lokaj w oliwkowej liberyi zsiadł z kozła i otworzył drzwiczki powozu. Wysiadłem i podałem rękę Rozie; weszliśmy do teatru.

Teraz już była primadonna. Urzędnicy teatralni kłaniali jej się ugrzeczniemi i z uprzejmymi uśmiechami odprowadzili nas ku scenie. Reżyser, mały gruby pan z siwymi włosami, ćwiczył właśnie chór. Ujrawszy nas, porzucił dziewczęta w krótkich sukienkach i zmęczonych chórzystów i posunął w naszą stronę. Orkiestra nagle umilkła. Wszystko się uciszyło. Weszła gwiazda.

— Witam panią. Stawiła się pani punktualnie, na minutę.

Roza i reżyser rozmawiali żywo, a i dyrektor orkiestry zeszedł ze swego wzniesienia na scenę i złożywszy Rozie uroczysty ukłon, wmieszał się do rozmowy.

Co do mnie, rozglądałem się w koło i mnie się też wszyscy przyglądali.

Po dłuższej chwili gawędy, dyrektor ukłonił się raz jeszcze i wrócił na swoje miejsce. Roza skinęła na mnie i przedstawiła mnie reżyserowi.

— Pan Foster, mój dobry znajomy.

Odkasznęła i zauważyłem, że głos miała nieco ochrypły.

— Musiała pani zziębnąć w czasie jazdy — zauważyłem.

— Ach nie, to nic; to przejdzie za chwilę.

Reżyser zaprowadził mnie do krzeselka obok fortepianu, stojącego w kulisach. Kilku artystów, siły widocznie poważne, ukazało się w cieniu, w głębi sceny. Roza zdjęła kapelusz i rękawiczki i złożyła je na fortepianie. Uważałem, że jest silnie zarumieniona, ale składałem to na karb naturalnego podniecenia artystki, zabierającej się do dzieła. Orkiestra rozbrzmiewała głośno w pustym teatrze, a w jasnym oświetleniu lamp elektrycznych bez kloszy zaczęła się próba z „Carmen“ od miejsca, gdy Carmen poraz pierwszy wchodzi na scenę.

Wtem, zaledwie z za kulis wyszła na środek sceny, Roza zachwiała się, jak ktoś pijany. Przy wstępnem słowie, zamiast zaintonować, wzniosła do góry ręce i wezwawszy mnie spojrzeniem, upadła na podłogę. Rzuciłem się ku niej i zaraz też wśród całego personelu operowego zawrzało poruszenie.

Przypominałem sobie podobną scenę kilka miesięcy temu w Londynie... Ona jednakże była zupełnie przytomna, a nawet spokojna.

— Pić! — szepnęła. — Umrę z pragnienia, jeżeli mi zaraz nie dacie trochę wody.

Ktoś przyniósł karafkę i szklankę. Wypiła dwie pełne szklanki, a wypiwszy, upuściła szklankę, która rozprysła się w kawałki.

— Niedobrze mi — rzekła — gorąco mi, a przytem to schrypnięte gardło... Panie Foster, musi mnie pan odwieść do domu. Próbę znów trzeba będzie odłożyć... bardzo mi przykro... To coś dziwnego!

Podniosła się z moją pomocą, rozejrzała się prawie błędnie dokoła, ale do mnie jednego oczy jej zwracały się o pomoc.

— To bardzo dziwne — rzekłem, podtrzymując ją ramieniem.

— Mademoiselle w ten sam sposób zasłabła przeszłym razem — odezwało się kilka współczujących głosów, a kilka kobiet pieszczotliwie się do niej zbliżyło.

— Wracajmy do domu! — krzyknęła i przytuliła się do mnie. Proszę o mój kapelusz i o rękawiczki... Ach! byle prędko!

— Zaraz... zaraz... — odpowiedziałem — postaram się o dorożkę!

— Dlaczego nie moim powozem? — zapytała popędliwie.

— Ponieważ musi pani jechać zamkniętym powozem — odpowiedziałem tonem stanowczym.

— Czy zechce pani łaskawie przyjąć moją karetkę?

Wysoki brunet wystąpił naprzód. Był to Escamillo, baryton. Podziękowała mu spojrzeniem. Jedną z kobiet zarzuciła płaszcz na ramiona Rozy, i odprowadzeni przez barytona, opuściliśmy gmach teatralny.

A przecież ledwie chwilę temu weszła tu ufną w siebie i dumna.

Podczas powrotnej jazdy do jej mieszkania, nic nie mówiłem, tylko obserwowałem ją bacznie. Skóra jej rąk sucha była i rozpalona, a na czoło wystąpił lekki pot. Wargi miała zeschłe i bezustannie powtarzała ruch przetykania. Błyszczały jej oczy, jak gdyby wysadzone z orbit. I wciąż boleśnie uskarżała się na straszne pragnienie. Chciała koniecznie kazać stanąć przed którymś „Café“ i napić się czegokolwiek, nie pozwoliłem jednak na to i w kilka minut dojechaliśmy do jej domu.

Atak przemijał. Bez wielkiej trudności weszła już teraz po schodach.

— Musi się pani położyć — rzekłem — za parę godzin wszystko będzie dobrze.

— Zadzwoń na Yvette.

— Nie — rzekłem — nie zadzwoni pani na Yvette. Ja sam mam interes do Yvette. Czy pani nie ma innej służącej, któraby pomódz pani mogła?

— Owszem. Ale dlaczego nie Yvette?

— Niech mnie pani jutro o to zapyta. Proszę, niech mi pani teraz będzie posłuszną. Jestem lekarzem przecież... Ja zadzwonię. Gdy Yvette wejdzie, niech pani zaraz wyjdzie z pokoju, zawoła drugą służącą i położy się z jej pomocą. Czy może pani to zrobić? Czy czuje się pani dość silną?

— Owszem, mogę; ale to bardzo dziwne...

Zadzwoń.

— Pani to przedtem powiedziała, a ja to powtarzam: to jest dziwne — to jest dziwniejsze, niż sobie pani wyobraża. I o jedno jeszcze muszę panią zapytać, zanim pani pójdzie: wtedy, kiedy pani miała ten atak w teatrze, czy widziała pani wszystkie przedmioty podwójnie?

— Tak — odpowiedziała. — Ale skądże pan wie o tem? A przytem miałam wrażenie, że się upiłam; a ja przecież nic nie piłam!

— Daruję pani, piła pani mleko z jajami. Oto tu jest jeszcze szklanka, z której pani piła.

Wziąłem w rękę szklankę, zostawioną na stole, a która zawierała jeszcze może z łyżeczkę płynu.

Wezwana dzwonkiem, weszła Yvette.

— Pani wcześniej powróciła — zaczęła swobodnie dziewczyna.

— To prawda.

Obie kobiety spojrzały na siebie. Otworzyłem śpiesznie drzwi, by Roza mogła wyjść. Wyszła. Zamknąłem drzwi i plecami się o nie oparłem. Szklankę wciąż trzymałem w ręku.

— Słuchaj Yvette, mam ci stawić parę pytań. Stała przedemną, ładna, choć skromnie czarno ubrana i w czarnym fartuszk, ze złożonemi rękoma. Twarz jej nie zdradzała żadnego wzruszenia.

— Słucham, proszę pana, tylko, że pani będzie mnie zaraz potrzebowała.

— Pani ciebie nie będzie potrzebowała. Pani już nigdy ciebie nie będzie potrzebowała.

— Nie rozumiem.

— Widzisz tę szklankę? Coś ty w nią wlała?

— Kucharka w nią wlała mleko z jajami.

— Ale ja się pytam, coś ty w nią wlała?

— Ja, panie? Nie!

— Kłamiesz, moje dziecko. Twojej pani zadano truciznę.

— Przysięgam...

— Radziłbym ci nie przysięgać. Dwa razy usiłowałaś otruć swoją panią. Dlaczego to robiłaś?

— Ależ to nienormalność...

— Czy twoja pani używa kropli do oczu, gdy śpiewa w operze?

— Kropli do oczu?

— Ty wiesz, o czem ja mówię. Płyn, który się wkrapla w oko, ażeby rozszerzyć źrenicę.

— Moja pani nigdy nie używa żadnych kropli do oczu.

— A pani Karłotta Deschamps, czy używa kropli do oczu?

— Odważnie zapytałem, ale z dobrym skutkiem. Drgnęła i zmieszała się.

— Ja... ja tego nie wiem, proszę pana.

— Pytam, ponieważż takie krople do oczu zawierają atropinę, a pani twoja uległa lekkiemu, bardzo lekkiemu atakowi zatrucia atropiną. Doza musiała być bardzo delikatnie odmierzona i w sam raz tyle, żeby wywołać chwilową chrypkę i niedomaganie. Nie potrzebuję tego mówić tak bystro dziewczynie, jak ty, że atropina najpierw działa na gardło. Widocznie było to czymś zamiarem przeszkodzić pani w śpiewaniu na próbach i w wystąpieniu w Paryżu w operze „Carmen“.

Yvette wyprostowała się, nozdrza jej drgały. Pobladała.

— Pan mnie obraża swoim podejrzeniem. Proszę mnie wypuścić!

— Jeszcze nie zaraz. Mogę ci jeszcze powie